



# Biuletyn

## Roku Czochralskiego

Wrocław

24 stycznia 2016 r.

rok V, numer 5/145

\*\*\*\*\*

Wobec zbliżającego się finału Ogólnopolskiego Konkursu Wiedzy "Wybitni Polacy - znani i nieznan", którego w tym roku bohaterem jest prof. Jan Czochralski, publikujemy tekst Jana Czochralskiego (tu występującego pod pseudonimem Jan Pałucki) pochodzący ze zbiorów Freda Schmidta i Maggie Carson, wnucząt Profesora. Pytania konkursowe będą nawiązywać także do treści tego utworu - zapraszamy więc do lektury uczniów klas V i VI szkół podstawowych :-)

Tekst napisany ręcznie atramentem znajduje się w dwóch ciemnożółtych zeszytach szkolnych z podwójną linią; jest też fragment przepisany na maszynie z ołówkowymi poprawkami. Pisownia utworu została uwspółcześniona. Fragmenty były już publikowane w "Biuletynie..." w numerze 41/50 z 2013 r. Teraz można przeczytać całość zachowanego tekstu. Oczywiście, ilustracje pochodzą od Redakcji.

### Mój żywot i moje zwierzenia (I)

Archiwa i dokumenty moje spłonęły podczas powstania, z ręki podpalaczy Warszawy. Okoliczności spalenia domostwa znam z opowiadania gospodyni, natomiast warsztat mej pracy, Zakład Badań Materiałów, spłonął na moich oczach.

Nie leżało w moim zamiarze stać się własnym monografistą. Wydawało mi się, że nie jest do uniknięcia, by przy ujmowaniu własnych dziejów nie wpaść w pewien patos, samopochwalstwo lub upiększanie. Teraz muszę ryzyko to ponieść. Nie widzę bowiem w gronie przyjaciół i znajomych nikogo, kto by posiadał dane, by opisać linie mojego skromnego rozwoju i bytowania.

Może za wiele powiedziałem, mówiąc o „żywocie”. Głębszego znaczenia temu słowu nie przypisuję - notatki poniższe są raczej moją wewnętrzną potrzebą. Mówiono o mnie źle i dobrze. Głównie źle, jak o większości ludzi. A przecież i złe sądy mają swoje podstawy...

Są one jak góry widziane z wielkiej oddali: brak szczegółów i przestrzeni. Kontury wskazują wyróżniające się punkty gór, a w przypadku biografii - charakteru.

Urodziłem się... jak każdy! Było to pod znakiem stadnika<sup>1</sup>. Nie jestem zabobonny, lecz wierzę w pewien wpływ pory roku na zasadnicze kształtowanie się charakteru. Nie lubię tych życiorysów poczynających się od „urodziłem się w roku tym i tamtym”. Nie ma w tym nic osobliwego, że się ktoś urodził i kiedy. Toć to prosty przypadek, że 23 października 1885 roku na Kujawach, a dokładniej na ziemi Pałuckiej, zapoznałem się z światem Bożym. Miejscem tym było prowincjonalne miasteczko Kcynia. Położone jest ono na niewielkiej

---

<sup>1</sup> byk

wesołej góreczce. Mało jest o tej miejscinie do powiedzenia. Mnie zaś ono bardzo dużo opowiadało. Słuchało, krzyczało, śpiewało i grało... W miarę upływu lat, coraz więcej.

Każdy niemal człowiek przypisuje jakieś osobliwe znaczenie pierwszym wspomnieniom i wrażeniom dziecięcym. Czy słusznie, czy nie - nie śmiem ocenić. Bądź co bądź są to pewne „wysepki” naszego żywota, które z czasem stają się coraz to mniejsze.

Pierwsza taka moja wysepka pamięci, to przeprowadzka nasza ze śródmieścia na nieodległy skraj miasteczka. Powracałem długo na stare śmieci. Była tam cudna jabłoń malinowa. Nęciła mnie nie tyle niedostępnymi swoimi owocami, jak raczej maliną swych barw. Barwy te uwypuklały się wprost z zielonej swej szuwary, nastrojały i wzruszały mnie głęboko, napawając mnie jakąś niepojętą chłopięcą tęsknotą.

Moja miłość do owej pysznej jabłoni zakończyła się żartem jakiegoś potwornego kominiarza, który nie zważając na moje marzycielstwo, przestraszył mnie, usiłując zamknąć mnie do worka, który trzymał w ręce. Bałem się, że mnie porwie, rzuciłem się na ziemię, zamknąłem oczy i krzychałem wniebogłosy. Gdy znów je otworzyłem, dawno już tego potwornego „szatana” nie było. Po tym doświadczeniu przekonałem się do naszego nowego otoczenia i uznałem za stałą siedzibę.

Był to domek przy malowniczym stoku. Po drugiej stronie gęstej kasztanowej szosy rozciągały się - jak przez wielkie okna - kwieciste łąki, hojne zbożne łany i daleki, daleki skraj horyzontu. Obok [...], Smogulec z doliną Noteci. Na prawo Dębogóra. Na bogatym tym tle przeżywałem najpiękniejsze zachody złotego słońca.

Moj ojciec nie był szewcem, jak się czytelnik może tego spodziewać. O, nie! Był raczej fachu św. Józefa. Robił kunsztowne biureczka, które szły na wystawy - posiadał nawet jakiś medal. Biureczka te były ze sprężynowymi szufladkami i działały za naciśnięciem guziczka. Późniejsze moje starania nabycia w okolicy dzieła rąk ojca okazały się daremne. Jedno takie kunsztowne biureczko posiadał kiedyś [Karol] Libelt w swoim majątku Czeszewo. Ojciec także przyprawiał świętym ręce i nogi, a czasem i głowy, rekonstruował m.in. barokowe ołtarze i inne ozdoby dla tamtejszych kościołów.

Robił też i proste łóżka, stoły, szafy, z konieczności i trumny - wszak było nas ośmioro, grono czeladzi i tak zwanych jeszcze biedniejszych krewnych. Poza tym był pilnym chórzystą, założycielem i przez 25 lat prezesem Towarzystwa Przemysłowego. Pochodził z pobliskiego gniazda Śniadeckich - Żnina, gdzie dziad miał w rynku kamieniczkę z dierzawą pięknego jeziora. Czym się właściwie trudnił nigdy się dobrze nie dowiedziałem.

Ojciec mój był agramatyczny, tak jak dwaj najmłodsi jego synowie. Drugim z nich jest sprawozdawca niniejszego życiorysu. Dopiero Matka nauczyła ojca z prawdziwym trudem i poświęceniem czytać i pisać.

Domeną Ojca mego za młodu były jeziora. Każdy ptak, każdy chrząszcz był mu znany. Wszelkie zmiany meteorologiczne w przyrodzie drobiazgowo umiał tłumaczyć i stawiał doskonałe prognozy. Życie w wodzie i w powietrzu znał na wylot. Spostrzeżenia jego były bardzo ciekawe. Słuchałem ich z wielkim zainteresowaniem i zapałem. Opowiadał kiedy wznosiły się mgły, kiedy upadały, o cyrkulacji rosy, o parowaniu i dymieniu parowów, rzek i jezior, o życiu torfowisk, błotnisk i trzęsawisk. O ich faunie i florze. Krajobrazu tego, aczkolwiek dusza jego do niego przylgnęła, później nigdy już zobaczyć nie miał - nie było na to czasu, swobody, ni zbytejnego grosza...

Pamiętam Ojca jak wyrzynał modele, szablony i wzory. W wolnym czasie śpiewał lub grał sobie na organkach... Nieraz i mnie było wolno dorwać się do tych jego świętości. Mogłem wtedy godzinami siedzieć odróżniając nazwy poszczególnych głosów tego cudownego instrumentu. Każdy ton miał dla mnie swój osobliwy tajemniczy urok... Jednak

głośne, złożone akordy były dla mego ucha poniekąd przykre i zbyt intensywne, ale później się to jednak zmieniło...

Wrażeń zimowych właściwie nie pamiętam. Jedynie to, że kiedy wichur za oknami dał, a płatki śniegu zalepiały okna, to stałem godzinami przy oknie. Ale jeśli tylko słońce zaczęło grzać i na dachu sopte poczęły płakać, świat mój od razu począł odżywać. „Tiuk, tank, tonk” ściekających kropli był mi śpiewem i sygnałem nowego życia. Wtedy uzbrojony w maleńkie „cholewki” biegłem skrycie na łękę za kasztanową aleją. Było tam pełno maleńkich dolin pokrytych kryształową tarczą lodu. Pod gładkim lustrem lodu przebijały się, aż po dno jak łąza przezroczyste, kobierce zieloniusieńkiej trawy. Oko moje widokiem tym nie mogło się nasycić. Ściągaliśmy z towarzyszami tafle z wody brodząc na bosaka we wodzie, aż nam wreszcie nogi podrętwiały. Tak przyspieszaliśmy nadejście wiosny. Po powrocie czekało na mnie wytarganie uszów lub katar. Ale to się nie liczyło.

A gdy wiosna nadeszła – hulać po stokach łąk, rolować się jak wałek po stromej skarpie. – cóż to za rozkosz! Topole, kasztany, łąki, zagajniki, słońce i kwiaty... Niedzielne poranki spędzone wśród kwiecistych łąk. Jak rosło mi wtedy serce! Nieraz się rozplakałem – a młodszy brat mój patrzył zdziwiony, gdy go pytałem, czy wszystko to go nie rozczula...

Albo taki zachód słońca! Ta złota, coraz bardziej rosnąca tarcza. A po zejściu - te pejzaże, ten krajobraz, te niebiańskie jeziora, te wyspy... Czy nie był to ciąg dalszy krajobrazu ziemskiego, sięgający w Niebiosa?

Mając lat sześć musiałem być już dość stanowczym. Przypadło mi kiedyś zanieść ławeczkę modlitewną do miejscowego starego proboszcza. Lecz gdy Proboszcz nie kwapił się z zapłatą, rozsiadłem się na miękko wyściełanej ławeczce, oświadczając z czupurną upartością, że albo pan proboszcz zapłaci, albo ławeczkę zabieram z powrotem do domu. Przypadła mi ona bowiem do gustu i ciężko mi było z nią się pożegnać. Siedziałem na niej i śpiewałem. Proboszczyna kochał dzieci, nie przeszkadzał mi przy moim nabożnym śpiewie przy wtórującym akompaniamencie organków. Ale proboszcz, jak proboszcz, w końcu mnie pożegnał i... nie zapłacił. Zrozumiałem, że wolał z Tatusiem pogadać. Widocznie cena przeze mnie postawiona była wygórowana... Zażądałem pięć bitych marek, a wtedy stół kosztował bite sześć...

Ruch w domu oznaczał dla mnie, że ubito jakiś interes. Wtedy było raźniej. Mimo to wolałem dni spokojne, bo można było wtedy gdzieś się podziać i marzyć...

Pewien szczegół, który w późniejszych relacjach sióstr moich, był „wielkim wydarzeniem”, wyjątkowo utrwalił się w mojej pamięci moich lat dzieciennych. Pamiętam, był ruch w domu - ciotka czy znajomi, słowem lekki zamęt. Na komodzie widzę jakąś monetę. Biorę ją do ręki, oglądam nieśmiało – pieniądz zamienia się w mych oczach w... upragnionego od dawna siwka czy też kasztanka... Skrycie wychodzę z domu. Ciągnie mnie do bardzo nisko położonego okienka wystawowego pełnego zabawek i dewocjonałów. W oknie widzę szalone korowody błyskotek, ptaszków drucianych i mnóstwo pstrokatości. To nie zabawki - to cuda... Wchodzę, kładę pieniądz na stole, za który po chwili otrzymuję „kasztanka” – który był w moich oczach piękniejszy od żywego. Widzę tylko mojego konika, nic więcej. Czuję bijące jego serce.

Sklepiarz wciska mi nadto garść monet do ręki. Kto wyobrazi sobie moją radość i moje zdziwienie. I konik, i zarazem jeszcze więcej pieniędzy niżli dałem. Uradowany, a zarazem oszołomiony, ściskam i pieniądze, i konika, biegnąc co tchu do domu. Przedstawiam uradowany moją zdobycz, przy czym wciskam Matusi garść pieniędzy do ręki. A tu masz: „Co to?”, „skąd to?”, „a to kradzież...”, „a to brzydkie”, gwałt, przestrogi i zasłużona kara!

Konik powędrował z powrotem do swej szklanej stajenki. Obserwowałem go przez długi jeszcze czas z nieutuloną tęsknotą w tym samym oknie wystawowym, aż zdobył sobie

innego nabywcę... W domu dbano zawsze o czystość rąk, o piąte przykazanie. Odróżniano, mimo biedy i ścisku, skrupulatnie a nawet przesadnie, „moje i twoje”.

Kolejna „wysepka”... W wesołym szumie lata nadszedł październik. Zbiórka kartofli na odległych „Bielawach”. Ciemność już się zgęstniała, a furka nie wraca. Czekamy z młodszym braciszkiem na powrót Ojca i starszych braci. Tulimy się lękliwie. A tu jakaś luna! Olbrzymi balon miesiąca poczyną nam się zdradziecko przyglądać. Mówimy, pod wpływem jakiejś trwogi, coraz głośniej. Nie dowierzamy jeszcze temu straszliwemu pięknu przyrody. Przestrach i lęk zarazem, i poryw odwagi ciekawości! I... już słysząc znane nam odgłosy. Zezujący na nas Księżyc od razu wydał się bardzo łagodny...

Poza tym nie pamiętam niczego, nie pamiętam nawet, ilu miałem braci. Kojarzy mi się, że czasami siostra założyła mi kołnierzyk marynarski lub przypięła kwiatek do koszuli, ale... nic więcej nie pamiętam. Ani ich rysów twarzy, ani ubiorów, „ani żadnej rzeczy która jego jest!”.

Wysepki, wysepki, wysepki!... Tak wyglądał mój świat, zanim szkoła zaczęła mi go z wolna zatruwać.

Zaczął się od stawiania kresek na tabliczce: „W górę, w dół” i „Vater unser”<sup>2</sup>, „Heil Dir im Siegerkranz”<sup>3</sup>. „Gib Acht” (dziwiłem się zawsze dlaczego „osiem”?). Wysepki nikły... Nie miałem przekonania do moich nauczycieli. Nie umieli mnie „ująć”. Ani za rękę, ani za serce. Ujął mnie ktoś inny. Ojciec nie miał czasu się mną zajmować. Ósemka dzieci, do tego poganiała go praca. Matkę natomiast obarczały ciężkie obowiązki dnia powszedniego. Ale w długie, przytulne wieczory zimowe, brała mnie za rękę, a bardziej jeszcze - za duszę. Czytywała głośno. Nie, nie czytała – lecz czytając czarowała obrazy takie same, jak widziałem je na jawie, na dramatycznej scenie przyrody.

Matka czytała! Walił się Rzym, waliła się Troja. Mówił do mnie Nero (wyraźnie do mnie), Markus Antoniusz, Aureliusz, Irydion, Petroniusz. Mówili Gladiatorzy, czerń i ulica. Wszystko to zapalało moją młodzieńczą wyobraźnię. Matka moja czytywała stare dramaty z wybitną dykcją i akcentacją. Mnogość temperamentów łączyła w jednej osobie. Wszystko żyło i kleiło się. Jak było to możliwym? Skąd, w jaki sposób? I to w miasteczku Kcyni!

Dziś wiem i rozumiem. Matka moja miała opiekę nad teatrzykiem amatorskim w tej zapomnianej przez świat mieścinie. Mądry proboszcz sprawował przez ręce mej Matki obywatelską kontrolę nad doborem sztuk, przewidzianych do „odegrania”.

Przy czytaniu była cała rodzina zgromadzona w ciasnym pokoiku. Najstarszy brat mój albo zasypiał, albo się zbyt entuzjasmował. Następny, nie przejmował się zbyt. Trzeci nie potrafił się skupiać. Ja słuchałem zapalony i rozmarzony. Ostatni, będąc jeszcze za młodym, aby w ogóle coś rozumieć – ziewał wytrwale. A siostry, jak to siostry - myślały o tym, o czym młode panny zazwyczaj myślą – „każda o swoim”.

cdn.

\* \* \* \* \*

Paweł Tomaszewski  
INTiBS PAN

<sup>2</sup> *Ojciec Nasz*

<sup>3</sup> *Heil dir im Siegerkranz* (*Chwała Ci, w wieńcu zwycięzcy*) niemiecka pieśń patriotyczna będąca w latach 1871-1918 nieoficjalnym hymnem Cesarstwa Niemieckiego; przyp. PETom.